

Czy debaty w czasie kampanii mają być reklamą polityków, którzy i tak nie mają szans na wybór?

04.05.2025
Witold Liliental

Nawet w USA w debatach w kampanii prezydenckiej spotykają się tylko dwaj najpoważniejsi kandydaci. W Polsce, kraju wciąż doganiającym bogatszy Zachód spotyka się trzynaście osób.

Autor jest kanadyjskim działaczem polonijnym, felietonistą, absolwentem Politechniki Warszawskiej. Urodził się w Warszawie w spolszczonej rodzinie o korzeniach żydowskich kilka miesięcy przed wybuchem II Wojny Światowej.

Dwa kraje, dwie kampanie

Od ponad 30 lat mieszkam w Kanadzie, choć mentalnie najczęściej w Polsce. Od kiedy mam obywatelstwo kanadyjskie dające mi prawo głosować, korzystam z tego prawa. Zmiana rządu Liberalów na Konserwatystów, czy odwrotnie, dotychczas nie powodowała istotnych zmian w moim codziennym życiu, w odróżnieniu od tego, co obserwujemy przy okazji każdej zmiany rządów w Polsce. Ale w sąsiednim kraju, od 80. lat uznanym za lidera i obrońcę świata demokratycznego, od 20 stycznia tego roku zaszły fundamentalne zmiany - wyniki wyborów nie tylko w Kanadzie i w Polsce nabierają dramatycznego znaczenia.

Nowy prezydent Stanów Zjednoczonych prowadzi wobec Putina politykę porównywalną z tą, jaką Neville Chamberlain prowadził wobec Hitlera w kwestii jego żądań dotyczących Czechosłowacji. Wstrzymał dostawy broni i pomocy dla napadniętej i walczącej Ukrainy, ma problem z publicznym uznaniem, kto na kogo napadł, a Unię Europejską oskarżył o to, że powstała „tylko w celu wyrolowania Ameryki”. W tej sytuacji Polska została wystawiona na realne zagrożenie. Ukraina walczy i krwawi sama, bez wydatnej pomocy zjednoczonej Europy może nie podolać powstrzymać nawały, nie bolszewickiej, ale nadal rosyjskiej. A nawała może nie zatrzymać się na Ukrainie. Wojna hybrydowa przeciwko Polsce i nie tylko już trwa od dawna, a w samym kraju ujawniły się siły, które bądź w wypowiedziach popierają politykę Putina, bądź, jak Konfederacja, o obronie Ukrainy, proklamują hasło: „to nie nasza wojna”. Nie trzeba przekonywać nikogo trzeźwo myślącego, że głosiciele takich postaw, ani tych, którzy w obliczu realnego zagrożenia głoszą hasła anty-unijne należy trzymać jak najdalej od władzy. Nawet ograniczonej przepisami Konstytucji władzy prezydenckiej.



Po wygranych wyborach w październiku 2023 r. rządząca koalicja przywracająca praworządność odziedziczyła m.in. pozostałości po rządach PiS, które narzucają czasem kontynuację polityki uspokajającej jednych, ale budzącej sprzeciw ludzi z empatią. Przykładem są zamknięcie granicy i pushbacki jako skutek zastraszenia poważnej części Polaków migrantami, którzy rzekomo sieją terror i gwałt, oprócz bycia roznośicielami egzotycznych chorób.

Straszenie wyimaginowanymi wrogami jest nieodmienną strategią stosowaną zawsze przez wszystkie siły prawicowe dążące do zdobycia władzy autorytarnej. Istotnym czynnikiem w hamowaniu naprawy i postępu są weta oraz ulaskawianie skazanych za przestępstwa, jakimi obecny prezydent walczy z nowym rządem. Dlatego majowe wybory prezydenckie, zwłaszcza w obliczu zmian w rozkładzie sił i wpływów na świecie nabierają znaczenia wręcz historycznego. Bo jeśli prezydentem zostanie kandydat prawicowej opozycji, może to skutkować rozłamem w koalicji demokratycznej, często podzielonej.

Od czasu zakończenia II Wojny Światowej Kanada była nie tylko najbliższym sąsiadem i partnerem handlowym Stanów Zjednoczonych, ale także najbliższym sojusznikiem w ramach paktu NATO. I oto nagle nowy prezydent amerykański zaczyna powtarzać, że pragnie Kanadę wchłonąć, jako 51. stan USA i nazywa ówczesnego premiera Justina Trudeau „gubernatorem”. Takie enuncjacje, początkowo uważane za niezbyt wysokich lotów żarty, przestały być odbierane humorystycznie, kiedy Donald Trump zaczął nakładać na Kanadę wysokie cła i powtarzać swoje żądania coraz bardziej uporczywie. Choć wielu obywateli Kanady ma rodziny w Stanach, choć wymiana handlowa oraz współpraca przemysłowa i kulturalna trwała od lat i stosunki sąsiedzkie były niemal braterskie, wszystko to uległo gwałtownemu ochłodzeniu. Im więcej Donald Trump fantazjował o 51. stanie, im więcej wygłaszał tyrady o „sztucznym państwie”, tym większe powodował wzmożenie patriotyczne Kanadyjczyków, nie zdając sobie sprawy z tego, że (mówiąc kolokwialnie), strzela sobie w kolano.

W Kanadzie, jak i wszędzie, też są ugrupowania prawicowe, bardziej podatne na umizgi i groźby Trumpa. Ostatnio, będąca u władzy partia Liberalna traciła na popularności. Nawet wewnątrz tej partii słabło poparcie dla premiera Justina Trudeau, który w końcu zrezygnował ze stanowiska, co wymusiło przyspieszone wybory.

Wśród Kanadyjczyków krąży dziś żart, że należy Trumpowi postawić pomnik wdzięczności. Pogarda dla Trumpa i wzmożenie patriotyczne zjednoczyły większość Kanadyjczyków, co skutkowało niemal cudowną wygraną Partii Liberalnej. Cudowną, ponieważ jeszcze ponad miesiąc temu sondaże stawiały ją daleko za partią konserwatywną i nic nie wskazywało na to, żeby mogła z tego marazmu wyjść, nawet po ustąpieniu Justina Trudeau.

To retoryka Trumpa spowodowała zwrot w nastrojach. Jego tzw. żarty i groźby spowodowały wielkie odrodzenie patriotyzmu i gwałtowny wzrost sympatii dla partii Liberalnej. Objęcie urzędu premiera federalnego Kanady przez Marka Carney i jego stanowcze odpowiedzi na żądania Trumpa, dopełniły dzieła. 28.04. Kanada głosowała i partia Liberalna wygrała z przewagą 25 mandatów nad Konserwatystami, a sam szef Konserwatystów, Pierre Poilievre stracił swój mandat we własnym okręgu wyborczym.

Nawet frankofońska prowincja Québec, która w 1995 r., chciała odłączyć się od Kanady, teraz przynajmniej w połowie głosowała na Liberalów, zaznaczając swoje związki z resztą Kanady, a druga połowa podzieliła swoje głosy między partią Bloc Québécois, właściwie funkcjonującą tylko w tej prowincji, a Konserwatystami. Bastionami Konserwatystów pozostały prowincje Alberta i Saskatchewan. Tutejsze wybory odbyły się jednak spokojnie, bez wzajemnego obrażania się, bez inwektyw. Trzeba pamiętać, że Kanada w swojej tradycji czerpie z kultury parlamentaryzmu angielskiego, gdzie stare obyczaje kurtuazji nadal obowiązują.

Trudno szukać takich wzorców wśród wielu polskich polityków. Już wiele lat temu Andrzej Lepper powiedział w Sejmie, że „tu Wersalu nie będzie”, co sprawdza się zarówno w Sejmie, jak i podczas debat przedwyborczych. Z obecnej kampanii prezydenckiej, którą śledzę w telewizji, w pamięci ostro się wyryły debaty w Końskich i w Warszawie. Ale nawet w USA w debatach w kampanii prezydenckiej spotykają się tylko dwaj najpoważniejsi kandydaci.

W Polsce, kraju wciąż doganiającym bogatszą Zachodnią Europę, spotyka się trzynaście osób, z których jedna korzysta z okazji i do głoszenia nienawiści rasowej, inna jawnie chwali Putina, jeszcze inna występuje właściwie tylko w roli kpiarza, wreszcie jedna, skądinąd miła, aspiruje nie tyle do stanowiska prezydenta, ile do bycia „kapelanką ateistów w wojsku”. Jeszcze kilka osób mało rozpoznawalnych i cieszących się marginalnym poparciem społecznym. Czy debaty w tak kluczowej kampanii mają służyć za forum do reklamowania się działaczy społecznych i politycznych, którzy i tak nie mają żadnych szans na wybór? Może nie mam racji, ale moim zdaniem to jest nadużywaniem demokracji.

Tymczasem na YouTube oglądałam sondy uliczne, w których młodzi, chociaż nie tylko, deklarują, że są im bliskie poglądy Sławomira Mentzena, gdy mówi o konieczności pozbycia się migrantów, ponieważ Polska ma być przecież dla Polaków. Wyznawcy tych poglądów chyba nigdy nie byli poza granicami Polski, zdziwiliby się, że polscy uchodźcy w innych krajach są akceptowani i traktowani tak samo, jak rdzenni mieszkańcy, często z miłym uśmiechem.

Gdy pytałem o to tutejszych Polonusów, niejeden raz słyszałem tłumaczenie, że „my, to co innego”. Starsza kobieta wymieniła Grzegorza Brauna jako jedyne, który nadaje się na prezydenta, ponieważ on mówi jak prawdziwy Polak i patriota. A „prawdziwy Polak i patriota” zabłysnął w debacie przerażającymi słowami o rzekomej „judaizacji” Polski i o żonkilkach przypiętych w klapach dla upamiętnienia rocznicy powstania w getcie warszawskim, które nazwał „żydowskim znakiem hańby”. To nie żonkile, tylko jego słowa były haniebne. I nie rozgrzesza go fakt, że zaczyna każde przemówienie od słów „Szczęść Boże” a w ostatniej debacie dodatkowo od pochwały Jezusa Chrystusa, nb. też Żyda.

Bywa, że debatę zapamiętuje się z powodu słów, których zabrakło. A z wyjątkiem kandydatów należących do demokratycznej koalicji, żaden z pozostałych nie zdobył się na chociaż jedno słowo potępienia tego antysemitckiego ataku. Czyż europosłowi Braunowi zależy na rozpętaniu fali antysemityzmu, jak w grudniu 1922 r., które zakończyło się zamordowaniem pierwszego Prezydenta RP, Gabriela Narutowicza?

Mnie niegdyś uczono, że religia katolicka, to religia miłości. Ten krzyczący brak reakcji na haniebne słowa był później tematem licznych rozmów w studiach telewizyjnych z politykami obydwu stron. Charakterystyczne było, że politycy obecnej opozycji zapytani o to, natychmiast zmieniali temat, oskarżając obecny rząd o cokolwiek, ale nikt nie zdobył się na potępienie. Jak długo taka mowa i znane czyny mogą pozostać bezkarne? Na razie trafiają tylko do Brunatnej Księgi prowadzonej dla potomności przez Stowarzyszenie „Nigdy Więcej”.

Zaimponował mi Rafał Trzaskowski, kiedy słysząc antysemitckie wynurzenia europosła Brauna odszedł w proteście od mównicy, dodając, że nie będzie tego słuchać. Tak się zachowuje w tej sytuacji przyzwoity człowiek.

Już jesteśmy zarejestrowani na wybory w Konsulacie Generalnym w Toronto, tu będziemy głosować. Żeby Polska wyzwoliła się z tego, co jej wstyd przynosi, a dobro rozkwitało!

W. Liliental: „Czy debaty w czasie kampanii mają być reklamą polityków, którzy i tak nie mają szans na wybór?”. Wyborcza.pl, 4.05.2025.

<https://wyborcza.pl/7,162657,31905647,czy-debaty-w-czasie-kampanii-maja-byc-reklama-politykow-ktorzy.html>